

ZDZISŁAW SROCZYŃSKI



Zdzisław, Maksymilian, Władysław SROCZYŃSKI, urodzony 13 stycznia 1908 roku w Cieszanowie. Ojciec Stefan Sroczyński, matka Władysława z Gołkowskich Sroczyńska stacja Gaje-Czyżyków/

Przed wojną mieszkaliśmy w Gajach koło Lwowa, które dzierżawił mój ojciec. Był to majątek, najpierw księżny Sapieżyny z Biłki, wsi polskiej. W 1939 roku zostałem zmobilizowany wcześniej, ponieważ rok przedtem skończyłem kurs przy Sztapie Głównym Szefostwa Komunikacji Wojskowej, byłem tzw. oficerem załadowczym. Dostałem rozkaz wyjazdu do Kwerce pod Luckiem; jest to węzłowa stacja kolejowa. Tam byłem ja, jeszcze dwóch oficerów, komendant stacji. Nic nie mieliśmy do roboty, bo tam ani nikogo ani nic nie ładowaliśmy. Co pewien czas przelatywały samoloty niemieckie bombardowały ten węzeł, ale jak ponaprawiało się szkody, znów nadlatywały i tak na okrągło. Masę transportów szło najpierw na zachód, potem zaczęły cofać się na wschód. Całe tory były zapchane wojskowymi transportami, które miały wygaszone lokomotywy. Przez stację przewalały się też tłumy wezwanych do wojska, którzy nie mogli się nigdzie dostać. Tak trwało do dziesiątego września. Znajomy jednego z tych oficerów, którzy byli ze mną / nazwisk nie pamiętam / wracał z Rosji, a był to oficer wywiadu. Powiedział mi: "Siedemnastego bolszewicy wkraczają. Ja rzucam wszystko i idę na front, bo tu już nic do roboty nie mamy." Myśmy nie bardzo w to wierzyli. Kiedy siedemnastego bolszewicy rzeczywiście przekroczyli granicę trzeba było się jakoś stamtąd wydostać. Mieliśmy na stacji cysternę benzyny, którą pod karą śmierci nie wolno było nikomu dawać. W między czasie tysiące samochodów, łącznie z samochodami ministerialnymi przewinęło się przez Kwerce. Do nas przyłączył się kierowca, który zgubił swoich pasażerów

daliśmy mu benzynę; jeszcze dwóch inżynierów z Katowic z samochodem dołączyło się, namawiali, żeby jechać do Rumunii. Myśmy wiedzieli, że Lwów się broni, postanowiliśmy więc, że ruszamy w kierunku Lwowa. Dojechaliśmy do jakiejś stacji i samochód się zepsuł. Ale na stacji był transport wojskowy złożony z wojskami kolejarzy. Wieźli m.in. silniki lotnicze. Naprawiali przed sobą tory i jechali. Wsiadliśmy do tego transportu, został on pod samym Lwowem ostrzelany przez Ukraińców, ale bez strat. Dojechaliśmy do Lwowa. Jeden z moich kolegów z wojska był właścicielem księgarni na placu Bernardyńskim. Poszliśmy do niego i dowiedzieliśmy się, że generał Januszajtis organizuje pułk obrony Lwowa. Zgłosiliśmy się do tego pułku. Za chwilę po naszym zgłoszeniu, przychodzi Januszajtis i mówi: "Lwów się poddaje. Wszystkim oficerom kazali iść na plac Bernardyński. / to byli ci, którzy znaleźli się ^{potem} w Katyniu / . Ja nie idę - powiedział Januszajtis - przebioram się i zostaję." Ponieważ ja idąc do wojska zostawiłem swoje cywilne ubranie u swego przyjaciela we Lwowie, poszedłem do niego i przebrałem się. Okazało się, że znalazła się moja rodzina, która przez bolszewików została wyrzucona z Gal i przyjechała do Lwowa i u przyjaciółki mojej siostry Haliny Szumowskiej mieszkali. Dołączyłem do nich. Zaczęliśmy kombinować jak się stąd wydostać, bo bolszewicy już wkroczyli do Lwowa, ^{Byli} w obdartych płaszczach. Zachowywali się możliwie. Opowiadali, że wszystko jest cudownie w Związku Radzieckim^M. Jest taka autentyczna opowieść, jak pewnego bolszewika zapytali "czy pomarańcze w Sowieckim Sojuszu są" odpowiedział: "właśnie bolszoj z owoc postroili". Kazali nam się wszystkim oficerom i podchorążym zameldować. Ja się oczywiście nie zameldowałem. Byłem podporucznikiem rezerwy. Skontaktowałem się z dwoma oficerami zawodowymi kawalerii, ~~którzy~~ z którymi wiązały się dalsze moje losy. Był to Marian Karpiński, porucznik kawalerii KOP-u i Wacław Szymanowski, oficer 23 pułku ułanów.

Wacław Szymanowski właśnie się ożenił wtedy we Lwowie. Postanowiliśmy udać się na Węgry, żeby dostać się do Francji. Jak pierwszy pociąg ruszył do Stanisławowa pojechaliśmy. Wydawało nam się, że jesteśmy doskonale zakonspirowani w sportowych ubraniach. W Stanisławowie wysiadamy z pociągu i od razu podchodzi do nas kolejarz i pyta: "Panowie chcą za granicę?" Widzimy, że nie ma co udawać i potakujemy. "No to niech panowie tutaj się nie pętają, tylko gdzieś się trzeba schować, a wieczorem wsiąść do pociągu do Worocenty. W tym pociągu jest byle jaka kontrola w Tatarowie, ale w Worocencie na stacji bardzo dokładna. Ja powiem maszyniście, żeby zwolnił przed mostem na Prucie. Wskoczycie z pociągu, przejdziecie po lewej stronie, bo tam jest bród i zaraz są domy kolejowe. Tam stróżem jest mój szwagier. On was w nocy przeprowadzi." Jedziemy tym pociągiem, w Tatarowie kontrola rzeczywiście żadna. Przychodzą bolszewicy, którzy w ogóle nie umieli czytać, więc co im kto dał to było dobre. Byliśmy taką grupą: ja, tych dwóch oficerów Karpiński i Szymanowski, mój brat stryjeczny Andrzej Srećczyński i Kazio Świącicki, jeszcze jeden pan, którego nazwiska już nie pamiętam oraz szwagier Szymanowskiego, kadet. Świącicki podał temu kontrolującemu bolszewikowi jako legitymację kartę na broń i to też wystąpiło. Wskoczyliśmy z pociągu, jak było umówione, doszliśmy do domu kolejarza. Tam nie ma nikogo tylko jakaś stara baba. Mówi, że dozorca, jak rano wyszedł, jeszcze nie wrócił. Noc ciemna, nie wiemy, gdzie się ruszyć. Mieliśmy kawałek mapy, która zresztą zupełnie nie zgadzała się z terenem, bo tam, gdzie były lasy zostały wycięte itd. Jak zaczęło świtać ruszyliśmy na kierunku mniej więcej granicy. Spadł wtedy pierwszy śnieg w górach. W niedużej odległości przy granicy milicja złożona z Hucułów złapała nas. Informacje były takie, żeby "broń Boże" nie iść z bronią bo oni wszystkich, którzy zląpią na granicy przesłuchują i wypuszczają. "A jak pójdziecie z bronią, to możecie popsuć innym, bo

to zaostrzy stosunki". Przetrzymani nas w areszcie w Worochcie. Połowa milicji to byli Żydzi, w płaszczach oficerskich i guzikami obszytymi na czerwono, ogromnie dumnie chodzili jako milicja bolszewicka. Stamtąd zaprowadzili nas do Tatarowa przez góry, to było niedaleko. Tam przesłuchiwał nas jakiś oficer NKWD, młody człowiek. Pytał się trochę. Odesłał nas do Stanisławowa, prosto do więzienia. Kadet zachorował, dostał gorączki jeszcze w Worochcie, zabrali go do szpitala, skąd uciekł i dostał się na Węgry. Siedzieliśmy w więzieniu w Stanisławowie, w celi przeznaczonej na cztery osoby było nas sześciu i sześciu Czechów, lotników, którzy uciekli z Czechosłowacji do Polski, bo chcieli walczyć. Przesiedzieliśmy z nimi kilka miesięcy. Jak mówili wolno, tośmy ich doskonale rozumieli. Ale jak rozmawiali między sobą, to zupełnie nie rozumieliśmy. Tam brano nas ciągle na przesłuchania, w nocy. specjalnych Ja przykreści nie miałem. Podawałem się za mieszkańca Zawad koło Włocławka, stamtąd pochodził Kazio Świącicki. Mówiłem, że pracowałem tam w tartaku jako palacz. Tylko podawałem prawdziwe swoje imię i nazwisko, żeby zostawić jakiś prawdziwy ślad po sobie. Od Kazia nauczyłem się wszystkiego o Zawadach, jakie są tam okolice, odległości itd. Tłumaczyłem, że chciałem przedostać się do swoich. Za każdym razem na przesłuchaniu pytano o to samo i sprawdzano, czy nie zmieniam pierwszego zeznania. Kończyło się przesłuchanie druga, trzecia w nocy, dostawałem dwa macherkowe papierosy i odprawiano mnie do celi. Był z nami w tym więzieniu jeszcze brat Haliny Szumowskiej - Szajna. On udawał wariata. Świącicki natomiast który miał 40 lat, ale był otyły, mówił, że ma 60 lat. Jak się potem okazało ich dwóch w końcu zwolnili. Pierwszego zabrali Andrzeja Sroczyńskiego, po nim ⁽¹⁹⁴⁰¹⁾ Wywieziono nas w zimie. Wyroku nie dostałem. Jechaliśmy transportem więźniów przez Lwów, prosto do Chersonia. Jak nas pędzono ze stacji do więzienia zobaczyliśmy jak wygląda Związek Radziecki

Obdarci ludzie, dachy walące się, krzyże połamane, cerkwie zniszczone. W Chersoniu siedzieliśmy nas dwięście osób w jednej sali. Nasze zdrowie było jeszcze nie najgorsze. Wprawdzie ci panowie, którzy przed wojną byli bardzo tędzy i mówili, że nie wiedzą z czego tyją, to na więziennym wikcie potracili po 40 kg wagi. W Chersoniu bardzo przyzwoitym człowiekiem był lekarz więzienny, który starał się załatwić wszystko o co go ktoś poprosił. Żyd, nazwiska nie pamiętam. Z Chersonia przewieziono nas do Nikołajewa. Siedzieliśmy tam nie w głównym więzieniu, a w małym budyneczku. Zostałem tam z Szymanowskim, Karpińskiego od nas oddzielili, też był w Nikołajewie tylko w innej celi. Strzałkowie, którzy nas pilnowali, ponieważ wiedzieli, że ich nikt nie kontroluje, otwierali drzwi na korytarz, pozwalali wyjść z celi, żeby się obmyć, stawali w drzwiach i pogadywali. Tam wezwali mnie, żebym podpisał wyrok. Dostałem 5 lat za chęć przekroczenia granicy. Później Naczelnik więzienia wezwał mnie, żebym przeczytał ten wyrok i podpisał. Pomyślałem sobie, co mi na tym zależy: podpisać czy nie, i podpisałem. W Nikołajewie, specjalnymi wagonami więziennymi dowieźli nas do Kotłasu. Podróż trwała długo. W Kotłasie przeładowano nas na barki, te były najgorsze. Stłoczeni byliśmy po pokładem, bez jedzenia, tylko trochę chleba dostaliśmy. Zanim nas załadowano na barki czekaliśmy, zdaje się dwie noce, na wolnym powietrzu. Byliśmy tam już wymieszani z sowietami. Mam wrażenie, że byli ^{oni} specjalnie przydzieleni, udawali, że są wielkimi wrogami ustroju sowieckiego, starali się wypytywać. Jak nas wyładowano okazywało się, że "nagle" ciężko byli chorzy i oddzielano ich niby do szpitala. Byli i tacy ^{Sowici}, co mieli wyroki. Pamiętam, jak już jechaliśmy pociągiem, a jeden z nich taki młody sowietarz powiedział: "z tych tu, co jada, jak jedna dziesiąta wyżyje to będzie bardzo dobrze". Powiedziałem sobie wtedy, że ja między tą jedną dziesiątą muszę być.

Na jednej stacji zatrzymał się pociąg. Na ~~tarach~~ pracowały jakieś miejscowe baby, bo tam tylko kobiety widziało się pracujące i jeden Polak zapytał: "po czemu sało?" /słonina/. A jeden bolszewik mówi: "ty jej się nie pytaj, ile kosztuje", bo ona jak żyje nie widziała słoniny". Z tego pociągu przeładowano nas na samochody a potem szliśmy 40 kilometrów na piechotę. Doszliśmy do skrajowaciągego lasu na bagnie i powiedziano nam: "Zdies budiem żyć". I koniec. Wycieli nasi strielkowie naokoło trochę drzew rozpalili ognisko, a nas zostawili na tym bagnie. Jak się człowiek położył wszystko było momentalnie mokre, a na drugi dzień do roboty. Byli tam Polacy, Żydzi austriaccy, bogaci kupcy, którzy początkowo mieli duże różnych rzeczy, opłacali się nimi tym strielkom. Wszyscy oni wymarli bardzo szybko. Budowaliśmy tor. Byli z nami też Karpato-Rusini, ~~oni~~ znali się na wyrębie lasu. Tak pracowano na Rusi Zakrapackiej. ^{odpowiednik} Oni na wezwanie Związku Radzieckiego, żeby przychodzili "po ziemi i wolu" ; a ~~swięci~~ co który przeszedł na stronę bolszewicką, to siewci ich wywieźli, co do jednego. Tam się spotkałem również z jednym z tych Czechów, z którymi siedziałem w Stanisławowie. Zaczęła się robota. Trzeba było najpierw wyciąć las tam, gdzie miały być tory, wykarczować, wykopać bagno i zrobić nasyp. Praca była beznadziejna. Drogi były zrobione z bel, po nich jeździły samochody, bo zapadałyby się w bagno. Wybudowano baraki, był jeden piecyk. Rano i wieczorem dawano "herbatę" i chleb, w południe przywożono na budowę zupę. Dostawało się łyżkę zupy. Zaczął się głód. Ludzie zaczęli chorować - szkorbut, przy którym dostawało się świerzbu albo puchlizny głodowej. Nogi puchną najpierw, jak puchlizna dochodzi do serca to jest koniec. Tak puchną nogi, że nie można ~~było~~ spodni założyć. Ja po pewnym czasie dostałem flegmonę nogi. Flegmona jest to nieograniczone ropienie. Jedyna rada to otworzyć ranę. Był z nami jakiś lekarz, Polak-Żydek z Drohobycza. On mi nie

chciał tego zrobić. Leżałem w baraku, już przestałem chodzić na pracę, aż mi otworzyła się dziura na nodze, wyciekła ropa. Po pewnym czasie odesłano mnie do szpitala. Ten pierwszy szpital wyglądał tak: ziemianka, tylko dach na wierzchu. / Przez trzy miesiące pobytu dotychczasowego tylko raz zaprowadzono nas do łaźni i dano czystą bieliznę / Nie mogłem w ogóle chodzić, mdlałem z bólu. Zniesiono mnie do takiej "bani". Tam mnie obmyli, w szpitalnej "sali" było ciepło, świeciła się lampa, dostałem osobne łóżko, z siennikiem, z poduszką i kocem. Tam był „lekpomem” rosyjski Polak. Nie pamiętam, skąd on był. Zaczął mi robić opatrunki, z soli, strasznie bolesne. Byłem już umierający. Szymanowski, który był ze mną w obozie, też się dostał do tego szpitala. Pamiętam jak kręciłem papierosa to mi to zajmowało kwadrans, bo prawie władzy w palcach nie miałem. Przyszedł kiedyś jakiś Rosjanin i powiedział mi, że „jak chcesz żyć to musisz mieć ciągle te opatrunki z soli”. Trzeba przyznać, że mi to pomogło. Potem przenieśli mnie do drugiego pomieszczenia, w którym lekarzem był doktor Sokołowski, chirurg z gdyńskiego szpitala. On nic właściwie nie mógł mi pomóc. Dostałem też świerzbę. Wtedy przyszło zawiadomienie, żeby tych co muszą dłużej leżeć odesłać do takiego większego szpitala, bardziej na południe.

Było to jedyne miejsce ten nowy szpital, gdzie rzeczywiście było mi bardzo dobrze. Jedzenia w bród. Chleba, ile kto chce, co było nie do wyobrażenia w łagrach. Wystarczyło powiedzieć stróżowi z baraku, a przyniósł nawet cały worek chleba. Był to olbrzymi łagier szpitalny - dziesięć baraków i tzw. „słabo siłka” mieszcząca tysiąc pięćset osób; tych, którzy wyszli ze szpitala. Oni chodzili na pracę, ale nie mieli żadnej normy. Żywnienie do wojny sowiecko-niemieckiej było bardzo dobre. Kierownikiem tego łagru był Żyd, ogromne chłopisko, bardzo silny. Opowiadano, że ~~jak~~ ^{z tych,} kiedyś żulicy, którzy grają w karty o życie naczelnika,

→ takich ~~kiel~~ trzech, co mieli go zabić, napadł^o i on ich sprzął do nieprzytomności. Żydzi byli na wszystkich urzędach. Ale ten pilnował porządku tak, że nie pozwolił nigdzie kraść. Głównym lekarzem była jego kochanka, więźniarka. Była to Rosjanka z Moskwy, bardzo przystojna blondynka. Mnie wzięto do szpitala chirurgicznego. Główną siostrą była tam Polka ze Smoleńska, więźniarka /dostała wyrok za chodzenie do kościoła/, ona mi powiedziała: "Będę ci robić opatrunki tak, żebyś się nie wyleczył. Tobie tu nic nie grozi, a jak wyjdiesz stąd, umrzesz od taczek." Siedziałem tam; lekarzowi, jak mi to siostra przykazała, za bardzo się nie pokazywałem. Robiono tam bardzo dużo amputacji, z powodu odmrożeń.

Ten łagier szpitalny położony był nad Dźwiną Północną. Trafiali tam też czasami polscy jeńcy, którzy pracowali w pobliskich łagrach. Teren był ogrodzony, strzeżony. Baraki były drewniane, piecyki ustawione na korytarzach. Drzewa było bardzo duże, było ciepło i był porządek. Naprawdę. Z jednej strony korytarza sale były mniejsze, z drugiej większe. Co tydzień prowadzono do łaźni, potem do fryzjera. W lecie siedzieliśmy przed barakiem, graliśmy w domino. Grałem ja, jeszcze jeden Polak, Rosjanin i Chińczyk, który musiał być jakąś bardzo ważną osobą, bo wszyscy Chińczycy, a było ich dużo, podchodzili i całowali go w rękę. On wszystko wiedział, co się w obozie dzieje, wszystko mu donoszono. Wygląd miał śmieszny, skośne oczy, małe uszka sterczące. Obsługa: to byli starsi ludzie. Polacy byli bardzo poważani. M.in. przebywał tam oficer, którego ojciec był dentystą. Umiał robić sztuczne szczęki. Powodziło mu się bardzo dobrze. Głównym kucharzem był Polak, młody człowiek. Jedzenie było bardzo przyzwoite - zawsze zupa, dawali masło, mięsa bardzo mało i bardzo rzadko, ale było. Bardzo smaczne pierożki. Była to zasługa tego Polaka-kucharza. Tak wiodło się do wojny.

Zimą śniegi ^{leżały} były dwumetrowe, ponad płoty. Wiosną, w przeciągu trzech tygodni ten śnieg topnieje, zaczyna się zielonąć i kwitnąć. Dźwina Północna jak na wiosnę wyląka, myśmy ^{znajdowali ich} byli na górze, drugiego brzegu nie było widać. Rozlewisko ^{parafota} było kikunastu kilometrów.

Wokół obozu była zona, ale poza nią nikt nie wychodził, bo ^{ciszej było} wokół było pustkowie. Baraki ^{zostały} były podzielone na oddziały: interny chirurgiczny, laryngologia. ^{precości} Był na internie lekarz Polak, który znalazł się potem w armii Andersa. Nazwiska nie pamiętam. Kiedy zebrano się dużo tych "słabosilków" - ozdrowieńców, naczelnik wyrzucał ^{ich} i to wyrzucał przede wszystkim żulików na transport. Naczelnik wtedy był już wolnym człowiekiem, nie wiem, za co siedział, jak na tamte warunki rządził doskonale, organizacja była świetna. Stacja kolejowa ^{znajdowała się} była jakieś dziesięć kilometrów. Żadnego miasteczka w pobliżu nie było. Chorych wieziono samochodami, ozdrowieńców pędzono na piechotę.

Siedziałem tam aż do zwolnienia. Powiedziano nam, że wszyscy Polacy idą na zwolnienie. Mnie się zapytano, czy chcę, bo ciągle miałem otwartą ranę na nodze. Powiedziałem, że oczywiście chcę, ~~bo~~ mogłem zostać, ale pomyślałem, że przecież sam to ja się stąd nigdy nie wydostanę. Polacy szli na piechotę, mnie wieziono na wozie. Deprowadzono nas niedaleko, do jakiegoś obozu, gdzie byli tylko Polacy, którzy mieli iść na zwolnienie i tam już nie ^{nie było} było robót. Spotkałem tam / była niegdyś bardzo znana jezzowa orkiestra w Warszawie " ataszek, Melodysta, Petersbur ski" / Melodystę. Przyjechała ~~tam~~ komisja lekarska. Zobaczyli tę moją nogę i zwieźli mnie do szpitala, innego. Leczone mnie ~~tam~~ jakiś czas, ranę otwartą ciągle miałem na nodze. Po jakimś czasie znów zapytano mnie, czy chcę iść na zwolnienie. Odprowadził mnie strzelek do jakiegoś oddzielenia, dano mi kawałek chleba, sto rubli, miałem dostać jeszcze rybę, ale ^{nie} zbrakło.

^{no}
Prze~~co~~wałem razem z innymi Polakami jeszcze w ~~takim~~ łagiernym baraku. Rano wypuszczono nas: "idźcie, jesteście wolni". Poszliśmy na stację kolejową. "Kiedy będzie pociąg?" Jutro. Przesiedzieliśmy na tej zimnej stacji noc. Stacja to był barczek, na słupku deski z napisem i cała stacja. Przesiedzieliśmy tam dwa dni. Nadjechał pociąg. Na siłę się wpełchaliśmy, ^{Byliśmy brudni,} ~~zaxpnnikważ~~ w łagiernych ubraniach, ale w Rosji to nikogo nie dziwi. W pociągu było ciepło chciało mi się spać, wczółgałem się pod ławkę. W przedziale siedział jakiś starszyna i ktoś znaczny, bo miał buty z cholewami skórzanymi, ^a ~~to już nie było~~ ^{znaczy to, że} ~~było~~ kto. Rozmawiają. Wtedy ~~jak~~ strasznie ^{sooooo} uciekali z Ukrainy; mówią ^{oni} tak "Budionny to ^{on} umy. On się cefa, bo jemu ludzi szkoda". A drugi mówi "Z Niemcami nie poradzisz. Do ataku wszyscy idą pijani, a wiadomo pijany to i na ścianę polecieć". Na tym według nich polegало zwycięstwo Niemców.

Po pewnym czasie, nie mogę sobie przypomnieć gdzie, wysiadam z tego pociągu. Spotkałem transport Polaków. Polacy jechali do wojska, mieli swoje wagony, przyczepiali ~~ich~~ ^{je} do pociągów. Dostaliśmy się do obozu wojskowego koło Tocka, był to letni obóz treningowy wojsk sowieckich. Tam zaczęły się mrozy. Mieszkaaliśmy w domkach drewnianych, na palach, z dołu przewiewnie, ogromnie było zimno. Poszedłem do lekarza z tą moją nogą, skierował mnie do szpitala, ale strasznie trudno było się tam dostać. Miałem jednak szczęście. Spotkałem tam znajomych: pułkownika Sołtysika ze Lwowa, główny chirurg lwowskiego szpitala wojskowego, którego znałem sprzed wojny. Zaczył mnie leczyć, ale organizm miałem tak wycieńczony, że rana nie zablizniała się. Po pewnym czasie dowiedziałem się, że przejeżdżamy na południe. Akurat był 40-stopniowy mróz. Mieliśmy już wtedy mundury angielskie, ale za lekkie na ten klimat.

Prze~~je~~chaliśmy do Schachrizabz. Zamieniono tam szkołę na szpital, byłem w nim nadal.

Było tam dwóch chirurgów: dr Różycki, który jest w tej chwili bardzo znanym chirurgiem płucnym w Anglii i dr Szajna z Drohobycza. Głównym chirurgiem był dr Sołtysik. Chciał mi on w różny sposób pomóc, robił przeszczepy skóry to się nie udawało, ale już trochę chodziłem. Pomagałem przy operacjach. Było bardzo dużo amputacji. Pewnego razu dnia zapowiedziano, że operować będą na dwa stoły. Moją funkcją było wołać chorych do operacji. Wypisaliśmy kto ma być operowany. W sali przedoperacyjnej były nazwiska wypisane. Na tablicy jest napisane Kupiec. Przychodzę na salę: „kto tu jest Kupiec?” wołam. Zgłosił się jakiś Żydek. Mówię: „chodź pan.” Ma napisane: amputacja duży palec u prawej nogi. Rzeczywiście ma zawinięty duży palec u prawej nogi. Siostra mu odwinęła, posmarowała jodyną, ale ja zapomniałem kogo wołałem i pytam jak się on nazywa. Mówi mi jakieś żydowskie nazwisko. „Po co pan tu przyszedł?” „Bo pan zapomniał kto tu jest kupcem, a ja jestem hanlowiec”. Dziurę na nodze ciągle miałem, tak zresztą pozostało do końca wojny. Powiedziałem do Sołtysika: „Słuchaj Adaś, wypisz mnie, znam się już na ranach lepiej niż zwykły lekarz, ja już tej nogi żadnemu więcej lekarzowi nie będę pokazywał.” Mówi mi „Dobrze. Daj ci balsam peruwiański, może ci się to kiedyś zablizni”.

Wyszedłem ze szpitala. Zostałem dowódcą plutonu dowodzenia w batalionie „Dzieci Lwowskich”.

Uzupełnienie:

Gołębskiego
Jerzego ~~Głębkiego~~ spotkałem w szpitalu w Tocku. Leżał tam. Jak się okazało miał on gruźlicę. Wiedziałem, że chorował przed wojną, ale było to zaleczone. Natomiast w tych siewieckich warunkach odnowiło się, dostał gruźlicę całego przewodu pokarmowego. Był w bardzo ciężkim stanie. Jak przejeżdżaliśmy z Tocką do Szachrizabz był on w transporcie szpitalnym, w pewnym momencie ktoś przyszedł do mnie z wiadomością, że prosi mnie. Był już w stanie bardzo ciężkim. Wtedy powiedział mi: „Ja tego nie przeżyję, ale chcę żebyś wiedział co się ze mną stanie.”

Zmarł następnego dnia. Nie wyrzucili go z transportu, prosiłem o to, pochowano go w Szachrizabzie.

Jachaliśmy w wagonach towarowych, były pryzce, ubikacja zrobiona z desek. Żywienie każdy organizował sobie we własnym zakresie. Wielu było w tym transporcie lekarzy - prof. ~~Charnowski~~ Czarnowski, zmarł 1988/?/ z Wilna laryngolog, bardzo znany zeglarz, był współwłaścicielem największego jachtu przed wojną w Polsce "Juranda"; był docent , specjalista chorób tropikalnych, też z Wilna, (dużo było lekarzy z Wilna) Bardzo był przydatny , bo w Schachrizabzie była epidemia tyfusu i malarii. Jak było w szpitalu 40 pogrzebów dziennie, to się mówiło, że to łagodny dzień. Kiedy ja przyszedłem do Batalionu Dzieci Lwowskich, to mój oddział miał wystawić wartę. Ja byłem oficerem służbowym Batalionu, ~~bo~~ z Batalionu nie można było zebrać zdrowych ludzi na jedną wartę, wszyscy leżeli. Stan np. stu , a z tego 95 leżących chorych.

W Szachrizabzie było już dużo cywilnych rodzin. Ja z tą moją nogą ~~ta~~ trochę leżałem w szpitalu, trochę chodziłem. Chodziłem na bridża do Sołtysików / żona, syn Janek, podchorąży/. Ta rodzina ^{zstaryta} spotkała się już wcześniej w Tocku. Mieszkali na podwórzu meczetu /w Szachrizabzie/ spano na zewnątrz. Tam u Sołtysików grywałem w bridża z generałem Klemensem Rudnickim. On miał rewolwer, ja nie miałem, odprowadzał mnie więc do szpitala, bo było powiedziane, że wolno tylko tym ^{pacjantom} wychodzić, którzy mają broń. Uzbęcy byli bardzo życzliwi. Grano z minaretu hejnał mariacki. Krążyło nawet takie powiedzenie, że jak nasz hejnał rozlegnie się z meczetu, to Uzbekistan odzyska wolność. Wypisałem się ze szpitala i z Batalionem Dzieci Lwowskich przyjechaliśmy do Krasnowedska. Tam wezwano mnie do NKWD i pytali mnie czy nie mam rodziny po stronie sowieckiej. Powiedziałem, że nikt go nie mam, pochodzę z północy Polski.

Werbowali na współpracę. Przyjechaliśmy do Pahlavi. ~~W Kachemawadzie~~
~~na~~ Ubranie nam zmieniono, stare zostało spalone. Anglicy bali się
epidemii. Żywiono bardzo dobrze. Kuchnie wyglądały tak: kotły
i paleniska, w których paliła się ropa. Tumany sadzy, wszystko
osmalone. Nasi kucharze nie umieli spalać ropy. Anglicy dawali
ogromne ilości jedzenia, na każde zapotrzebowanie, a Polacy groma-
dzili zapasy. Kiedyś przyszła kontrola angielska i zobaczyła ~~χ~~
20
worki z zapasową mąką, kazali zaraz ją spalić. "Jak będzie trzeba
to wam damy". Wojsko chodziło do kuchni na okrągło dzień i noc.
Ludzie byli bardzo wygłodzeni. Przez pewien czas dawano po półtora
porcji wszystkim, żeby odżywić.

Podróż przez Morze Kaspijskie była bardzo spokojna. Wcho-
dzenie na statek ~~było~~ spokojne, sporządzone zostały listy, kto
nie był na liście nie wchodził. Niektórzy jako swoje rodziny
przewozili Żydów. Sprawdzali sowieci - NKWD. Ja byłem w jednym
z pierwszych transportów: 6 dywizja Tokarzewskiego. /kwiecień 1942/

Z Anderssem zetknąłem się w Rosji pierwszy raz jak przyjecha-
łem do Szachrizabzu. Wiedziałem, że Zygmunt Kostkiewicz jest jego
adiutantem. Spytałem Andersa o niego. "Zostawiłem go, bo trochę
źle się czuje." Niestety Kostkiewicz po przyjeździe do Persji
zmarł.

Przetransportowano nas tankowcem, nabite było ludzi, ile się
dało, wszyscy siedzieli na pokładzie.

Batalion Dzieci Lwowskich ^{został} ~~był~~ od razu przesłany do Iraku,
do Kanakⁿ, jedno z czterech najgorętszych miejsc na świecie.
Tam zaczęła się reorganizacja. Batalion Dzieci Lwowskich przeszedł
do Brygady Pancerniej jako 6 pułk pancerny. Uznano, że jestem do
linii za stary i przeniesiono mnie do kompanii zaopatrywania.
Tam zostałem mianowany perucznikiem, zostałem dowódcą plutonu
zaopatrywania Brygady. Miałem pod sobą trzech młodszych oficerów.
Zaopatrywaliśmy Brygadę w żywność, amunicję, benzynę.

Oficerowie ci to byli : Jurek Łoboz, Józio Modelski, bratunek generała Modelskiego, Kazio Przychodzki.

Moim obowiązkiem było dopilnowanie ich. Wigilia Bożego Narodzenia w Iraku - takiego pijaństwa w życiu nie widziałem, włącznie z dowódcami i wartami, przez trzy dni jednego człowieka nie było trzeźwego. ^{Nastąpiło} ~~To było~~ odprężenie, żeśmy się wreszcie pozbyli tej Rosji. Z Kanakinu przejechaliśmy pilnować rafinerii niedaleko Bgdadu; największe angielskie rafinerie w Iraku. Stamtąd przejechaliśmy do Palestyny. Staliśmy niedaleko Gazy. Potem byliśmy w Egipcie, pod Kairem, stamtąd pociągami do Aleksandrii i do Neapolu.

Uzupełnienie:

Spotykałem w łagrze tzw. "bytowników", złodziejasków, pytałem kiedyś jednego z nich. "Dlaczego to robi? Takich kar srogich za złodziejstwo jak w Rosji nie ma w świecie." Jak baba ukradła koszyk ziemniaków z sochozu to dostawała 5 lat łagru.

A on mi na to mówi: "Jak będziesz kiedy na wolności to zobaczysz. Robotnik zarabia dwa razy mniej niż potrzeba mu, żeby przeżyć. To co ma zrobić? Musi kraść." Ze mną w jednej sali leżał kiedyś żulik, który został postrzelony przez strzelka z łagru karnego. Trafiał tam, bo zjadł pieśka "achrony". Chłopak miał 20 lat, powiedział mi: "ja wiem, że całe życie nic innego nie będę robił tylko kraść. I dobrze byłoby żeby przyszli Niemcy, bo oni za to same co tu dają 5^h lat, to oni 2 lata."

Na etapie przejściowym spotkałem chłopca ukraińskiego, który dostał 10 lat za to, że zjadł swoje dziecko, w czasie głodu ukraińskiego. Ludzie wtedy najpierw zjedli wszystkie zwierzęta, potem liście, wreszcie jedli trupy. O tym mówił mi też oficer sowiecki, który przesłuchiwał mnie w Stanisławowie. Powiedział: co to jest 8 milionów? tyle umarło na Ukrainie z głodem nie robi różnicy na taki wielki kraj.

Siedział też ze mną jeden pop, który siedział nie za to, że się modlił / bo w Rosji jest „wolność” więc się za religię nie karze / dostał wysoki podatek, wieś się złożyła i zapłaciła^a, następnym razem dostał dwa razy większy, wieś znów się złożyła, ale trzeci raz znów podwojony podatek wieś nie była w stanie zapłacić i pop poszedł do łagru za niepłacenie podatku.

Pewien robotnik na pytanie „skąd się bierze tyle ludzi w łagrach” odpowiedział mi: „To jest system. Jak ma być wielka budowa, to organizuje się kontrrewolucję w jakimś miejscu i wywozi się ludzi do łagru^{ów}, na Syberię, bo są tam potrzebni do roboty.”

Rosjanie nie mogli pojąć naszej mentalności, bo byli tak izolowani, że nie mieściło im się w głowie, że może być gdzieś inaczej, że ludzie inaczej żyją i myślą.

Ze mną łagrze / pierwszy - budowa torów na bagnie, w SSR Komi / siedziało całe poselstwo sowieckie z Berlina. Jak ich wycofali, wszyscy poszli do łagru, żeby nie opowiadali jak ludzie na Zachodzie żyją. Tak samo wszyscy żołnierze, którzy byli w niewoli po wojnie fińsko-radzieckiej, najpierw ich ~~wit~~ witali z orkiestrą a potem wsadzili do łagrów. Bardzo niebezpieczny jest człowiek, który coś widział; wie, że może być inaczej niż w Rosji Sowieckiej.

Siedziała ze mną żona inżyniera, który przeprowadzał elektryfikację Moskwy. Ona oskarżyła jakąś kobieta, że coś powiedziała na Stalina. Rzucił wtedy swoją legitymację partyjną jak aresztowano żonę. Napisał do niej po pewnym czasie „Będiesz wolna, bo ta, która cię oskarżyła miała proces za fałszywe oskarżenia.” Wic te nie pomogło. W Rosji jak ktoś raz dostanie się do łagru to z niego nie wychodzi. Z łagrów ^{po drodze} są wszyscy osadnicy na Syberii. Naczelnicy stacji, obsługa kolei to wszystko są tak zwani „bezkonwojni”, bo jak zostaje do odsiedzenia już tylko rok lub dwa lata ^{wzrost} ^{bez strach} pracuje, bo wiadomo, że nie ucieknie.

Jak skończy mu się wyrok to zostaje jako "wolnonajemny", bo on wie doskonale, że jakby wrócił do siebie to po miesiącu, nie dalej dostanie pod byle pretekstem nowy wyrok i będzie musiał od nowa w łagrze wszystko przejść. A tak to już czuje się urządzony do pewnego stopnia.

Albo było po prostu tak, że jak kończył się wyrok wołano skazanego, żeby podpisał nowy wyrok na następne 10 lat i koniec. Stamtąd się nie wychodzi. A jeśli ktoś był za granicą nie mógł chodzić ^{swobodnie} wolno, żeby nie opowiadać jak jest gdzie indziej.

Sowieciarze wierzyli w to, że dlatego u nich jest taka bieda, bo muszą wysyłać wszystko na Zachód, bo tam robotnicy mrą z głodu.

Życie ludzkie w łagrze jest za nic. Opowiadał mi ^{taką} historię w wojsku ^{żołnierz} kolega, który też był w łagrze. Stróżował przy karcie w którym siedziało trzech żulików. Na nich doniósł jeden ^{z nich} z nich. W karcie nie wolno ^{mieć} mieć nic, była zima, stróż drzewo wkładał do piecyka sam, żeby nie ^{nie mieli} mieli polan. ^{Ale oni} Wyciągnęli niedopalone drzewo z pieca, ogłuszyli donosiciela tym polaniem, potem wyrwali blachę, który była na podłodze, żeby od ^{iskier} ~~piłka~~ nie ^{palące} zapalała się i tą blachą poderżnęli mu gardło. Pytano ich za go zabili? "Bo ukradł nam chleb" - w łagrze jest niepisane prawo, że za kradzież chleba można zabić.

Był ze mną w łagrze taki, co sobie obciął wszystkie palce u lewej ręki. Grał z żulikami "o życie naczelnika" przegrał i wiedział, że jak nie zabije naczelnika to jego zabiją. Wolał obciąć sobie palce, żeby zabrali go do szpitala, ~~uniknął~~ uniknął śmierci.

"Wszystko równo i tak podochniysz i tak."

x

W Aleksandrii zabrano cały sprzęt. Anglicy mają taki system że każdą większą jednostkę rozdzielają i mieszają z innymi, żeby w razie zatopienia okrętu

nie zniknęła cała jednostka. Ja płynąłem na australijskim statku pasażerskim, ~~wkawałi~~ wpakowali tam 10 tysięcy ludzi, część była z naszego II Korpusu, była ^{ta} m.in. Królewska Gwardia Konna, która ~~stała~~ ^{stała} ~~ni~~ była w czasie wojny pułkiem czołgów. Wszyscy ci żołnierze mierzyli co najmniej 1,80, a oficerowie! - zawsze mówiłem, że jesteście my zupełnie bezpieczni, bo każdy z tych oficerów ma wujka albo ojca w parlamencie. Bardzo zdyscyplinowane i perządnie prezentujące się wojsko, co o innych angielskich oddziałach trudno było powiedzieć.

Ładowaliśmy w Neapolu./ dwa miesiące przed bitwą pod Monte Cassino/. Brygada Karpacka już tam była. Pierwszą akcją ~~to~~ było Monte Cassino - bardzo znaną.

Po Monte Cassino poszliśmy trochę na odpoczynek. Staliśmy w Maceracie. Stamtąd przeszliśmy na wybrzeże wschodnie. Potem była bitwa o Loretto. Straty tam była bardzo duże. Cmentarz w Loretto jest prawie tak duży jak w Monte Cassino. Mój przyjaciel Józek Grabowiec tam leży. Mieliśmy się przenieść, ja się nie zgodziłem. A jego wsłali, żeby zabrał komandosów, wjechał pod ogień artylerii niemieckiej. On zginął i dwóch kierowców.

Ciekawostka: w Loretto, w katedrze są kaplice wszystkich narodów m.in. polska z obrazem Sobieskiego pod Wiedniem i obrazem przedstawiającym Cud nad Wisłą. Niemcy jak bombardowali to zburzyli jedną kaplicę była to kaplica niemiecka.